

CARCINOMA FARANGATIS

„...kiedy HUSZ dotarło do niego schował głowę w szczelinę ziemi i pozostał w tej pozycji przez dwa dni dopóty nie minęło niebezpieczeństwo; i potem poszedł do domu, gdzie do końca żył cicho ze swoją ciotką. Jego nazwisko brzmiało Aleksander Beetles...”

(A.A.Mille – „Winny The Puch”)

I.

Inteligentny, przystojny. Gdyby nie lenistwo i brak wiary w siebie, a za to odrobina szczęścia mógłby zajść daleko i nawet trafić do jakiej encyklopedii.

* * *

Piękny letni poranek. Gabinet lekarski.

-Przepraszam - mówi doktor odkładając słuchawkę telefonu - muszę wyjść na sekundę.

Po wyjściu lekarza J.L. odszukuje w leżących na biurku papierach interesujące go wyniki badań. Mimo słabej znajomości łaciny orientuje się, że jego dolegliwość została rozpoznana jako rak gardła.

Rokowania marne.

Odkłada papiery na biurko.

Czeka.

* * *

Wraca lekarz. Odnajduje i czyta dokumenty z wynikami badań.

-No tak - mówi po chwili - no tak...- i stara się nie patrzeć pacjentowi w oczy.

-Panie doktorze. - słyszy swój głos J.L. - Ja pozwoliłem sobie przejrzeć te papiery i trochę znam łacinę. Na tyle wystarczająco... Proszę mi powiedzieć prawdę.

A potem J.L. słyszy głos lekarza, który co prawda nieco kręci, ale nie dementuje tej bzdury, którą J.L. znalazł w papierzyskach. Wcale nie zaprzecza tej bzdurze! Wręcz przeciwnie, potwierdza wyrok Pana Boga: Przedwczesna śmierć z winy natury.

...Oczywiście...nie należy tracić nadziei...medycyna nigdy na pewno...często mile nas zaskakuje...poza tym zawsze istnieje prawdopodobieństwo pomyłki...powtórzymy badania...nigdy nie wolno tracić nadziei, nigdy nie wolno tracić nadziei, nigdy nie wolno tracić nadziei, nigdy nie wolno tracić nadziei, etc., etc.

I tym podobne bzdury, banały, dyrdymały, pierdoły.

J.L. jest mimo wszystko zaskoczony.

Dziękuję, żegna się i wychodzi.

Oj, nie polubił on tego lekarza, nie polubił.

* * *

Nadal piękny letni poranek. Ptaki świergołą. Garsteczka białych płatków z obficie okwieconego krzewu dzikiej jabłoni, rosnącego na skwerku obok kliniki, obsypuje jednego z brzdąców jeżdżących na rowerach wokół małej fontanny. J.L. wybucha śmiechem. Sytuacja w jakiej znajduje się od około 10 minut raczej nie usprawiedliwia jego wesołości.

Tuż obok krzewu stoi stragan. J.L. kupuje pół kilograma pomidorów. Udaje, że sprawdza resztę, ale tak naprawdę wcale nie liczy pieniędzy tylko myśli o tym, że nawet nie zapytał lekarza ile mu jeszcze zostało. Chowa pieniądze do kieszeni.

Tak czy inaczej niewiele.

* * *

Zamyślony pali dobrego, aromatycznego papierosa. Zamiast gardła boli go brzuch. Gardło boli jakby mniej. Zastanawia się, gdzie teraz iść. Decyduje się na powrót do domu.

* * *

- Cześć - mówi J.L. całując żonę w policzek i wręczając jej pomidory.
-Cześć – mówi żona rutynowo odwzajemniając pocałunek - No i jak?
-Rak gardła - informuje ją J.L. i lekko pochrząkuje.
Owo chrząknięcie jest w tej sytuacji bardzo nie na miejscu. Niezręczne, wręcz idiotyczne.
Dzieci witają się z roztargnionym tatą, który całą swą uwagę skupia teraz na bólu gardła [pharangis].
-Nie wygłupiaj się - mówi żona oglądając pomidory, a następnie przez chwilę uważnie przygląda się mężowi.
-Nie wierzysz? Ja też nie. - J.L. wyjmuje z kieszeni marynarki legitymację ubezpieczeniową. Wyciąga z niej skierowanie do szpitala i pokazuje je żonie. Dwa tygodnie zwolnienia. Sporo.

* * *

Późny wieczór. Parno. J.L. w ubraniu leży na kanapo-tapczanie. Uśmiecha się. Żona popłakuję w kuchni. Dzieci śpią w drugim pokoju. "Jutro lub pojutrze będę musiał iść na powtórne badania. - Myśli sobie J.L. - Ale mi się nie chce. Rak to rak. Lekarz sugerował jakiś zabieg, ale po co się męczyć. Rak to rak."

Żona wchodzi do pokoju. Siada obok J.L. i zaczyna delikatnie głaskać go po głowie. Czują się niezręcznie. Milczą. Za oknem położonego na 10 piętrze mieszkania L-ów kotłują się rozbełtane gwiazdy. J.L. jest świadom tego, że od blisko roku jego żona ma kochanka. Niemniej dotykanie jej ręki sprawia mu przyjemność.

* * *

Godzina druga nad ranem. J.L. nago siedzi na krawędzi wanny. Pali papierosa i studiuje rozmówki portugalskie. Na półce z przyborami toaletowymi stoi szklanka zimnego piwa. Obok szklanki leży "Where the rainbow ends" C. Mills'a - ulubiona książka J.L. z lat dziecięcych.

* * *

Jednak poszedł do pracy. Głównie po to, by sprawdzić czy leżąca w szufladzie biurka polisa ubezpieczeniowa jest aktualna. Siedzi w wygodnym fotelu. Vis a vis szef.

-Czy to coś dłuższego? - pyta szef

-Raczej tak - odpowiada J.L. - Najlepiej będzie jak prowadzenie projektu przekażesz Radkowi.

-Jak długo cię nie będzie - nalega szef.

"Właśnie: Nie będzie!" - myśli J.L., ale mówi zupełnie co innego: że pewnie dwa, trzy tygodnie w szpitalu; potem może jakieś sanatorium, a potem cholera wie co.

-To niedobrze - martwi się szef - Niedobrze.

"Pewnie, że niedobrze!" - myśli sobie J.L.

-Wiesz - dodaje po chwili szef - boję się, że Radek nie da sobie rady z tym projektem. Jest zdolny ale za młody, no i jednak nie ten łeb.

Wieczorem J.L. pyta żonę, czy chce by przed pójściem do szpitala sprzedał samochód.

-Jak możesz! - wybuchła płaczem żona - Przecież to na pewno pomyłka. Jakaś koszmarna pomyłka.

W nocy J.L. słyszy jak żona cichuteńko pochlupuje. Dochodzi do wniosku, że jej zachowanie jest nieco nietaktowne. Cóż, bywają sytuacje, kiedy emocje biorą górę nad kulturą i delikatnością. Człowiek nie daje rady sprostać nieszczęściu jakie się na niego zważyło. Ale oznacza to tylko i wyłącznie to, że człowiek nie potrafił poradzić sobie ze swoim nieszczęściem. Nic więcej. Nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków i nie należy potępiać słabości człowieka, który nie potrafi poradzić sobie ze swoim nieszczęściem. Unikajmy słowa słabość. Bądźmy wspaniałomyślni.

J.L. kocha swoją żonę. Trochę. Od kilku lat J.L. spotyka się z kochanką. Kochankę również kocha. Trochę.

Tuż przed zaśnięciem J.L. cynicznie pomyślał sobie, że dobrze było przez ostatnie parę lat dmuchać te dwie eleganckie dupy. Na zmianę. Doskonale się uzupełniały.

W środku nocy J.L. budzi się potwornie przerażony. Takich przebudzeń będzie miał teraz coraz więcej.

"A jednak to wszystko prawda!"

Żeby nie zacząć krzyczeć, myśli o swoich dzieciach. Rozczuła się nad nimi i nad sobą.

"Biedne żuczki!"

Oczęta ma pełne łez. Aż się spocił z tego wszystkiego. Ale i spokorniał. Trochę.

* * *

W parę dni po wizycie u lekarza J.L., bez żadnych kłopotów, telefonicznie uzgodnił termin przyjęcia do szpitala. Pojechał do kliniki tak-sówką. Gardło bolało go coraz bardziej. Nie chciał umierać w domu.

II.

Żyłem, w zasadzie, bez celu. Wszystko co robiłem nie miało zbyt wiele sensu. Zapewne w sposób zasadniczy na moje niezbyt udane życie wpłynęła śmierć matki. Matka umierała długo i dokładnie. Rzygowiny, krwotoki, ubabrana kalem pościel, smród, upokorzenie, bezsilność i rozpacz. Taki obraz matki pozostał w mojej pamięci. Prawdopodobnie właśnie wtedy oduczyłem się miłości. Byłem jeszcze bardzo młody i przeobrazenie się tej pięknej i pełnej życia kobiety w nalanego potwor-kowatego debilka, odsłoniła mi coś co pewien pisarz nazwał "tajemnicą Snowden'a". Różnica polegała na tym, że Snowdena zabili ludzie przy użyciu techniki, a matkę zabił bóg przy pomocy natury. Ludzie są słabsi od boga? Natura silniejsza od techniki?

Oczywiście robiliśmy wszystko co było w naszej mocy, żeby złagodzić cierpienie matki. Pichciliśmy wspaniałe obiady, których nie chciała jeść. Kilka razy dziennie zmienialiśmy jej pościel. Przez wszystkie noce dyżurowaliśmy przy jej łóżku. Pod koniec padaliśmy z nóg.

Chociaż była odrażająca nie brzydziłem się jej w najmniejszym stopniu. Dziesięć lat później wymiotowałem, gdy Kasienka - mój maleńki, ukochany żuczek - zrobiła kupkę w pieluszki.

Jednak najbardziej przerażający w tym wszystkim był egoizm matki. To było takie ludzkie. Miała wokół siebie kochającą rodzinę, przyjaciół, wielu życzliwych ludzi i w końcu nas najbliższych. A jednak, gdy na parę dni przed śmiercią zorientowała się, że nie możemy już jej pomóc, zatraciła elementarne poczucie wstydu. Histeryzowała, kaprysiła, krzyzczała na nas, robiła nam na złość jakby to była nasza wina! Zachowy-

wała się arogancko i wulgarnie. Była nie do zniesienia. Mimo, że była już bardzo słaba, zdrowo rozrabiała i dawała nam w kość.

Z niedowierzaniem odkrywałem, że kocha siebie bardziej niż nas. Nabierałem przekonania, że gdyby jakiś Bóg w zamian za ulgę w jej męczarniach zaproponował poświęcenie jednego z nas, zgodziłaby się na to bez wahania. Bardzo cierpiała. Ja ze swej strony modliłem się o to, by wziąć na siebie jej cierpienia. Ale czy była to uczciwa modlitwa? Nie wiem. Przecież zdawałem sobie doskonale sprawę z nierealności takiej zamiany. I co to znaczy uczciwość?

Bardzo nas zmęczyła choroba mamy. Całe szczęście, że istnieje coś takiego jak morfina, czym można szprycować takie umęczone mięsko i psyche.

III.

Moje wady, które utrudniały mi życie:

- 1. Niecierpliwość*
- 2. Kiepski słuch*
- 3. Niepoważny wygląd*
- 4. Tchórzostwo*
- 5. Przesadna skłonność do idealizowania i abstrakcji.*
- 6. Słomiany zapal, lenistwo*
- 7. Słaba zdolność do koncentracji*
- 8. Podatność na wszelkiego rodzaju używki*
- 9. Pycha i mizantropia*
- 10. Skłonność do błazenady*

** * **

Przez cały czas wszyscy oszukiwali mnie. To od nich nauczyłem się kłamać. Parę razy, nie pamiętam dokładnie ile razy... może z siedem, a może z dziewięć, ale jestem pewien, że nie mniej niż trzy i nie więcej niż siedemnaście ... wydawało mi się, że jestem już blisko prawdy, że to właśnie o to chodzi. Lecz to nigdy nie było tym.

Próbowałem formułować jakieś prawa-reguły, które ułatwiłyby mi życie. Na przykład: "Bądź uczciwy", albo: "Kto rano wstaje temu pan Bóg daje.", albo: "Każdy ludzki uczynek - zarówno zły jak i dobry - powraca do człowieka jak powracająca fala." albo: "Należy zawsze kupować buty o jeden numer większe." itd. Sporo tego było.

A jednak nie udało mi się nigdy znaleźć prawa na tyle pewnego i uniwersalnego, abym był w stanie zaakceptować je w stopniu mnie zadowalającym.

Szukałem boga, który nie istnieje. Nie potrafiłem jednak odpowiedzieć na pytanie, które postawiłem sobie będąc jeszcze małym chłopce: "Czy jestem w stanie wyobrazić sobie boga?"

Od czasu, gdy umarła matka często myślałem o śmierci. Wydawało mi się, że osiągnąłem niezłe rezultaty w tej kwestii. Przez blisko rok, gdy miałem 20 lat wierzyłem w matematykę. Że jest czysta. Pewnego dnia intuicyjnie doszedłem do wniosku, że matematyka to tylko zabawa, więc - jak każda inny rodzaj ludzkiej działalności - ucieczka od samotności i śmierci. Nic ponadto. Gdy poznałem twierdzenie Goedel'a upewniłem się, że moje podejrzenia w stosunku do matematyki mają racjonalne podstawy, że matematyka wcale nie jest taka czysta. Straciłem sympatię dla matematyki.

Skoro zatem nie ma żadnej pewności, skoro każda odpowiedź na jakiegokolwiek pytanie obarczona jest zbyt wielkim prawdopodobieństwem popełnienia istotnego, zasadniczego błędu; skoro stopień pewności jest od czasu zasady nieoznaczoności niezadowalający; skoro ok. 2300 lat temu z ust "najmądrszego" padły słowa : "scia me nihil scire" i nadal jest to jedno z niewielu sensownych zdań, choć na pierwszy rzut oka wygląda na paradoks semantyczny; skoro...

W takim razie wychodzi na to, że nie ma nadziei.

Więc jak żyć? Jak być?

"Jest jeden sposób... - odpowiada Stein, romantyk, który wie, że są rzeczy, które nigdy nie dadzą się wypowiedzieć, ale on, Stein, tyle czasu przeżył samotnie, że czasem o tym zapomina- ...jedyna droga: Iść za marzeniem. I znowu iść za marzeniem. I tak ewig, usque ad finem.¹"

Ach ci pisarze! Butne, zarozumiałe kłamczuchy. Każdy z nich pozbawiony jest krzty skromności - swoją pychę nazywają natchnieniem lub posłannictwem. To jest znamienne. Przed każdym napisanym zdaniem powinno się zaznaczać: "To wszystko o czym tu teraz piszę to brednia, niewarty funta kłaków bełkot. Forma bezładnej i żalostnej ucieczki."

¹ Lord Jim

Ale cóż innego pozostaje oprócz słowa? Malarstwo? Film? Muzyka? Katatoniczne zapatwienie w sufit? A może telewizor... albo dziki, zwierzęcy, przeraźliwy wrzask... nieartykułowany wrzask, od którego popękają w gardle wszystkie struny głosowe. Wrzask o tym, że nie godzę się na śmierć, bo to jedno z największych i najpodlejszych oszustw.

*

Ten złośliwy sadysta między innymi wymyślił ból. I za co to? Przecież jestem człowiekiem ugodowym. Nie trzeba mnie katować i męczyć, abym zmienił swe niewłaściwe postępowanie. Wystarczyło powiedzieć: - Jacku, to raczej nie tak. Źle robisz. Zastanów się czy nie można tego robić lepiej.

Zareagowałbym natychmiast:

- Ach, przepraszam. Naprawdę nie wiedziałem, że to jest złe. To się więcej nie powtórzy. Na pewno się poprawię.

Ale ten złośliwy zboczeniec zupełnie bez ostrzeżenia zsyła na mnie katastrofę i swoje małe aniołki – sadystów, najlepszych specjalistów od tortur.

- Za co to! - pytam.

A może myśli, że się poddam, że zacznę błagać o litość? Nie mając żadnej gwarancji, czy nie zostaną wyśmiani. Naprawdę jest aż tak głupi? A może on mnie się zwyczajnie boi i dlatego właśnie tak dręczy? Przecież już dawno mógł np. trzasnąć we mnie piorunem. On wie, że ja wiem o jego zasadniczej pomyłce. Trzeba było zacząć zupełnie inaczej: "Niech stanie się dobroć. I stała się dobroć. I wiedział, że dobroć była dobra. I uśmiechnął się..."

*

Przez cały czas wszyscy mnie oszukiwali. Może i teraz kłamią? Może nie umrę tak szybko? Może wcale nie umrę?

Religia jest higieniczna. Wiara czyni cuda. Dlaczego umarł bóg? Einstein nie mógł pogodzić się zasadą Heisenberga. Mawiał, że "bóg nie może za każdym razem rzucać kostką, aby wyznaczyć położenie elektronu na każdej z orbit każdego atomu".

A jednak... Być może to dobroduszny staruszek o zdrowej i czerstwej cerze ... włosy siwe, gęste, krótko obcięte na jeża... tak to sobie wyobrażam...

Być może nie rzuca kostką, lecz stawia pasjansa...

*

Jeżeli rzeczywiście nie istnieje żaden bóg, choćby nawet taki najmarniejszy...

Jeżeli ta nasza osobliwość ($10^{26}m$ i $10^{17}s$) i nasze życie to nieprawdopodobny ($1/\infty$ - cudowność) zbieg okoliczności...

to nie ma ani kawałka tzw. duszy, a człowiek niewiele różni się od gówna, od strzępu materii i to dość paskudnej, bo niemyty parę dni śmierdzi.

Jakże to tak!

A jednak...

Bóg jest. Boga nie ma.

Bóg jest. Boga nie ma.

Jest. Nie ma.

Tak. Nie.

Tak.

Nie...

Znikąd pomocy. Dostojewski?

*

Wymyślili alfabet, język i różne żargony, czyli elegancko mówiąc konwencje:

Dyferencjał - karburator,

Felga albo Heglizm,

Prommienisty rebeliant,

Wittgenstein albo Dante Alighieri,

powieść symultaniczna,

Beckett albo Mezon albo C_2H_5OH , DNA, carcinoma, infarctus cordis albo lues albo..

etc., etc.

A przecież wszystko sprowadza się do jednej i tej samej rzeczy: umiarnia. Strachu przed śmiercią, buntu przeciw jej absurdalności, ucieczki od jej beznadziei i wreszcie rezygnacji eo ipso zgody na śmierć.

Mimo tylu negatywnych doświadczeń wszyscy próbują oszukać śmierć.

"VII.24. Nikt nie może dwóm panom służyć, gdyż albo jednego nienawidzić będzie, a drugiego miłować; albo jednego trzymać się będzie, a drugim pogardzi. Nie możecie Bogu i mamonie służyć.

25. Dlatego powiadam wam: Nie troszczcie się o żywot wasz; co będziecie jedli lub pili, ani o ciało wasze, czem je przyodziewać będziecie. Czyż życie nie jest czymś zacniejszym niż pokarm, a ciało niż odzienie.

26. Spójrzcie na ptaki niebieskie! Iż nie sieją, ani znają, ani zbierają do gumien, a ojciec wasz niebieski żywi je; czyż wy nie jesteście daleko zacniejsi niż one?

27. I któż z was troskliwie myśląc może dodać do swego wzrostu jeden łokieć lub do życia jeden dzień.

28. I po cóż się martwić o odzienie? Przypatrzcie się liliom polnym jak rosną; nie pracują, nie przędą.

29. A powiadam wam iż nawet król Salomon w całym swym splendorze nie był tak przyodziany jako jedna z nich.

30. Jeżeli tedy trawę polną, która dziś jest, a jutro bywa w piec rzucona, Bóg tak przyodziewa, czyż nie daleko lepiej was przyodziął? O jakże mało w was wiary.

31. Nie troszczcie się więc i nie pytajcie: Co będziemy jeść? lub: Co będziemy pić? lub czym się będziemy przyodziewać?

32. Bo tego wszystkiego poganie szukają; a Ojciec niebieski dobrze wie, że tego wszystkiego potrzebujecie.

33. Ale szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam przydane.

34. Przeto nie troszczcie się o dzień jutrzejszy, albowiem dzień jutrzejszy będzie się troskać o swoje potrzeby. Dostyc ma każdy dzień na swoje utrapienie." {Mat.6}

Czemu go nie posłuchali? Wyścigi szczurów, przemoc, oszustwo...

Belkot to li, czy jedyna droga?

1. Byłem sprawny seksualnie i zawsze rozśmieszały, mnie do łez wszelkiego rodzaju kąciki porad sercowych, - zamieszczane w kretyńskich czasopismach, - dla kalek z problemami łóżkowymi.

Potencja regulowana - w zależności od okazji; wielkość - w sam raz; czas trwania - kontrolowany. Z tego ostatniego daru niebios korzystałem rzadko, dając kuście pełną swobodę, gdyż wychodzę z założenia, że nie należy zniewalać natury - niech idzie na żywioł. Żadnych kompleksów. Perwersji w miarę, do nasycenia, ale też bez przesady. Większości dziewczętom było chyba ze mną dobrze i chociaż nie byłem Don Juan'em niejedna z nich zawdzięcza mi przeżycie zdrowego orgazmu. Wzajemna frajda. Et in terra pax hominibus bona voluntas. To o mnie powinni pisać w kącikach porad seksualnych. Niechybnie poprawiłoby to humor wielu impotentom.

2. *Dobre jedzenie. Z napoi głównie kakao i Camparii.*

3. *Kilka razy jakiś sport: narty, piłka, tenis, żagłówka, łyżwy.*

Alkohol. Ma coś wspólnego ze sportem. Też swego rodzaju sprawdzian, rywalizacja. Od czasu do czasu lubilem spać się jak kot. Bywało to miło. Byłbym zapewne nałogowym alkoholikiem, gdyby nie ten przeklęty katzenjammer.

4. *Jesień. Jest ładna i senna. Szczególnie lubilem ją między 9⁰⁰, a 13⁰⁰ we wrześniu lub październiku, a nawet w listopadzie, gdy ciepło. Jesień bywała dla mnie namiastką szczęścia. Nawet sama świadomość, że właśnie mamy jesień, sprawiała mi przyjemność. Nie wiadomo dlaczego jesień kojarzy mi się z bielą. Mgła?*

5. *Obserwowanie dzieci lub zwierząt - nie za często.*

6. *Zabawki: eleganckie ubranie, dobry samochód, elektroniczne gadgety, kot, nowe pióro, etc.*

7. *Niektóre książki lub zadania matematyczne, karty.*

8. *Czasem muzyka, film, rzadziej jakiś obraz.*

9. *Trzy najlepsze momenty w życiu?*

-Gdy Kaśka wyzdrowiała,

-Pierwsza randka z Anną,

-Tamten wieczór. Nie pamiętam, gdzie i kiedy. Może to był tylko sen. Szedłem, zdaje się, górską drogą. Sam. w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że zgubiłem oznakowany szlak. Nie czułem jednak niepokoju. Rosło tam wiele bardzo starych, ogromnych cisów. Między ich gałęziami pojawiały się pierwsze gwiazdy. Nie bałem się mimo, iż znajdowałem się w bardzo dziwnym... ba, niebezpiecznym położeniu, bo przecież wilki, niedźwiedzie i kto wie czy nie inne drapieżniki. A jednak wcale się nie bałem. I wszystko skończyło się dobrze. W schronisku zjadłem gorący bigos. Wypilem piwo. Było mi dobrze.

IX

Czwartek.

Dziś zakładam, że Pan Bozia jest.

Spraw Wielki Bumelancie, żeby moje córki miały zgrabne nogi i daj im w życiu parę radości. Kobietom przydają się zgrabne nogi i trochę szczęścia.

Niech moja żona szybko zapomni o mnie i pokocha innego. Ludziom potrzebna jest miłość.

Niech ci, których skrzywdziłem przebaczą mi moje winy, a ci którym wydaje się, że kiedyś mi dokuczili niech przypadkiem nie dręczą się wyrzutami sumienia. Najbardziej skrzywdziła mnie natura i ja sam.

Sumienie to jeszcze jedno oszustwo.

Złagodź ból. Morfina jest miękka i zdrowa.

X

ŻONA:

A)

- Co on robi? Przez całe dni pali papierosy i ogląda telewizję. Siedzi na fotelu i nogą, a w zasadzie dużym palcem u nogi przełącza kanały. Wydaje mi się, że jednak niezbyt uważnie ogląda telewizję, bo głównie, panie doktorze, zajęty jest kólkami.

- Jakimi kólkami?

- Z dymu papierosów. Doszedł do niebywalej wprawy w puszczeniu kółek.

B)

Pusto, zimo i ciemno. Piję herbatę i palę papierosa. Wiem, że nie wezmę dziś kąpieli, ale nie wiem jak mam dalej żyć. Boję się, że jakieś nieistotne niepowodzenie kompletnie mnie rozsypie. Jak on mi mógł to zrobić! Boję się samotnych nocy i tych wymiętych, spłoszonych poranków, gdy budzę się bez sił i bez nadziei i niepokodzona, ale buntu też we mnie nie ma. Dlaczego nie umiałam się zatrzymać i skąd było we mnie tyle złości? Wymykał mi się, uciekał. Ta jego niedbała niefrasobliwość

powinna mnie śmieszyć, a nie denerwować. Sknociliśmy naszą miłość, a przecież mieliśmy wszystko co jest potrzebne do... mogło być tak pięknie i dobrze.

Ile w tym mojej winy?

Jakże to tak?

PRZYJACIEL:

Umarł po dwóch miesiącach pobytu w szpitalu. Odwiedziłem go parę dni przed śmiercią. Wyglądał strasznie. Nie mógł mówić. Żeby uśmierzyc ból szpikowali go różnymi świństwami. Przypominał mi bezbronne dziecko, które nie bardzo rozumie sytuację w jakiej się znalazło.

W pewnej chwili poprosił oczami, żebym podał mu breloczek-zapalniczkę, który miałem przy kluczyku od samochodu. Było to śliczne cacko. Odpiąłem gadget od kluczyków i podałem mu mówiąc:

- Masz. Prezent ode mnie. Przyda ci się jak stąd wyjdiesz. Lekarz powiedział mi, że diagnoza okazała się błędna i mają sprowadzić z zagranicy jakiś lek, no a potem będziesz musiał się bracie wziąć ostro do roboty, żeby szybko wrócić do formy.

Do dziś nie mogę zrozumieć jak mogłem palnąć tak prymitywne, naiwne i bezczelne kłamstwo.

Przez moment w jego zmętniałych i umęczonych oczach błysnęło coś w rodzaju rozbawienie... A może wdzięczności?

Przy łóżku na stoliku miał zeszyt i długopis. Poprosił oczami, żebym mu je podał. Niezdarnie nabazgrał: „Tu mnie źle leczą dranie.”

Do dziś nie wiem czy to co na chwilę zabłysło wtedy w jego oczach to była ironia czy ulga. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

EPILOG

A może chodzi właśnie o to, żeby na wszelkie możliwe sposoby opisywać np. przyrodę, ze szczególnym uwzględnieniem, dajmy na to, pogody: nastrój chwili, gdy byliśmy:

Śliczne, niebieskie, bardzo czyste niebo, jakiego nie powstydziliby się sam Pan Bozia albo nawet Magritte. Ale gdzieś tam nad horyzontem delikatnie popstrzone koronką białych chmur. Koronka co chwilę zmienia kształt, dając nam znak, że tak właśnie...

że oto...

że zaraz...

...że już.

I jeszcze można dodać, że to niebo niebieskie, bo tlen. A tlen niebieski, bo odpowiedni pryzmat zmienia promienie słońca w taki właśnie kolor, a ten kolor niebieski, bo tak się go nauczyły nasze receptory, a słowo niebieski, bo to wiemy od mamy.

Można by jeszcze wiele na temat tej niebieskości, bo i Lennon i Proust, a i córeczki nasze modre oczęta mają...

Byle nie za długo. Byle nie przeciągnąć struny i wyczuć, w którym miejscu należy skończyć, bo nadszedł właśnie ten moment, gdy po raz przedostatni wolno posłużyć się pojęciem "niebieskości".

Niebieskim mazakiem na drzwiach szpitalnej sali, w której umierał J.L. ktoś nagryzmolił koślawy napis:

TU PRZEZ TRZY MIESIĄCE UMIERAŁEM NA ZAWAŁ CHUJA.

Koniec.